

BYDGOSKA GRUPA

NEON

LITERACKA

czerwiec 2011



OD REDAKCJI

MARTA FORTOWSKA

Nie jest wstydem kochać, bać się, pragnąć, marzyć, czy przyznać się do własnych wad przed sobą samym, ale napisać o tym, podetknąć bezczelnie pod nos czytelnikowi? Z tym już gorzej. Wszystko zostało już napisane. My możemy jedynie poruszać tematy od dawna istniejące, przekładając je na swoje własne myśli i język, dla każdego inny, indywidualny.

Czerwcowy numer jest ostatnim przed okresem wakacyjnym. Wracamy we wrześniu, ale zalecamy szukać nas latem na bydgoskich ulicach - może coś się wydarzy? Zachęcamy również do śledzenia nas na www.facebook.com/grupaneon i www.grupa-neon.blogspot.com - tam na bieżąco będziemy informować o tym, co siedzi nam w głowach.



REDAKCJA

Redaktor naczelna: Marta Fortowska

Skład: Kasia Dobucka

Okładka: Dawid Zawadzki, z wykorzystaniem grafiki Grażyny Kożuchowskiej www.gkozuchow.republika.pl

Grafiki: Aga Krzyżak, Grażyna Kożuchowska

Korekta: Wojtek Nowak, Tomasz Działalek

Redaktorzy: Ola Rulewska, Kasia Ostaszekiewicz, Hanna Engel, Natalia Durszewicz, Paulina Dzwonczak, Tomasz Działalek, Szymon Szeliski, Karolina Rakowska, Kasia Dobucka, Wojtek Nowak, Piotr Charchuta, Sebastian Walczak, Kamila Mikołajczak, Dominika Chruścicka

Kontakt e-mail: grupaneon@vp.pl

www.grupa-neon.blogspot.com

www.inkaustus.pl

www.facebook.com/grupaneon

ESPERA

OLA RULEWSKA

- Ma pani dziwne imię – rzekł do niej mężczyzna w banku, gdy płaciła za rachunki. Uniosła brwi i spojrzała na niego swoimi wielkimi oczyma. Facet aż skulił się w sobie. Takiego spojrzenia jeszcze nie widział. Mimo to nie mógł sobie podarować kolejnego pytania.

- To nie jest polskie, prawda?

Tym razem spojrzała na niego jak na idiotę. Właściwie nie musiała nic mówić. Jej oczy mówiły wszystko. Załatwiła formalności i wyszła, rzuciła jedynie „do widzenia”. Mężczyzna powiódł za nią wzrokiem.

- Oczy na pół twarzy... - pomyślał zauroczony. Ale już przy następnym kliencie o niej zapomniał.

Espera, bo tak nazywała się ta kobieta o niezwykłych oczach, szła ulicą, rozmyślając o bankierze. Szła powoli i skupiła się, by dobrze zapamiętać tego człowieka. Już o nim nie zapomniał.

Od małego nie zapomniała o ludziach. Gdy miała siedem lat, ktoś bardzo jej pomógł i dzięki tej osobie mała Espera uwierzyła w świat. Tak silnie, że o każdym człowieku myślała, że jest wartością samą w sobie. Jedyne, co przerażało małą Esperę to długie dystanse, które trzeba pokonywać, by być wśród ludzi. Każda droga wydawała jej się dłuższa od poprzedniej. Gdy Espera dorosła, przestała bać się długich dróg. Jakby trochę się skróciły. Każdy dystans był mniejszy, tylko ten między ludźmi się zwiększył. Dlatego też Espera dbała, by mieć zawsze szeroko otwarte oczy i nie pomijać żadnego człowieka. Bo z ufnością dziecka wierzyła, że człowiek jest wartością samą w sobie.

Posiadała także umiejętność niezwykle szybkiego przyswajania języków obcych, może dlatego, że musiała podróżować. Polskiego nauczyła się błyskawicznie, знаła też japoński, rosyjski i francuski. Nie mówiąc o angielskim. Strasznie zależało jej, by język nie był barierą, ale drogą do porozumienia.

Kiedyś ktoś chciał poznać ją bliżej. Nie przestraszył się jej wielkich oczu o wymownym spojrzeniu. Była wówczas taka szczęśliwa, że unosiła się nad ziemią. - Wiedziałam, że warto mieć nadzieję – myślała uradowana.

Był to mężczyzna. Jemu jednemu powierzyła swoje największe sekrety i otworzyła się przed nim. Powiedziała, że pochodzi z hiszpańskiej prowincji,



że jej siostra zginęła w wypadku, że jej mama pochodzi z Brazylii, ale nie wie, gdzie jest i czy w ogóle żyje; że pewnie o niej, Esperze, zapomniała, że ojciec był Hiszpanem, ale o nim to już w ogóle nic nie wie. Wyznała nawet, że lubi sobie wyobrażać ojca jako szaleńczo zakochanego w życiu wędrowca, którego jedyną cenną rzeczą jest gitara.

- I chodzi gdzieś po świecie, i gra na tej gitarze, i śpiewa hiszpańskie ballady. A ludzie chcą go słuchać, bo jest uśmiechnięty, ma białą koszulę i czują, że ich lubi - mówiła, patrząc wielkimi rozmarzonymi oczyma w niebo.

Mężczyzna lubił jej słuchać, jej niedorzecznych historii o dobrych ludziach. Rozczułało go, że widzi świat w takich barwach. Pewnego razu spytał o jej imię. Skąd właściwie takie.

Sama je sobie nadałam. I sama je stworzyłam.

Nic więcej nie powiedziała, mężczyzna musiał zadowolnić się taką odpowiedzią.

Espera nadal chodziła po świecie i poznawała nowych ludzi, na których bardzo jej zależało. Mężczyzna bardzo długo jej towarzyszył. Ale pewnego razu zapomniał o niej. Zniknął. I tyle go widziała. Jak zwykle jednak zapadł jej głęboko w pamięć.

Pewnego słonecznego popołudnia Espera, kupując gałkę lodów bananowych, zaznajomiła się z ekspedientką. Po dziesięciu minutach rozmowy, gdy ta miała przerwę w pracy, bardzo dużo się o niej dowiedziała. Okazało się, że ekspedientka Zofia ma dużo problemów, które ją przewyższają. Nie umie sobie z nimi poradzić. Rozmowa z Esperą i ich późniejsza przyjaźń bardzo jej jednak pomogła. Dała nadzieję. Espera była tego świadoma i dlatego tak lubiła otaczać się ludźmi. Bo wiedziała, jak na nich działa.

Pewnego razu Zofia spytała o jej imię. Espera wzruszyła tylko ramionami. Zofia kontynuowała więc zwierzenie się ze swoich problemów. Nigdy wcześniej

ani później nie spytała o nic, co dotyczyło Espery. Tak jakoś. Zawsze mówiły tylko o jej, Zofii, problemach. A po kilku latach zniknęła. Jej mąż wyleczył się z alkoholizmu, córka wyzdrowiała i wygrali na loterii. I wyjechali. Zofia zapomniała o Esperze, jej oczach i nadziei, którą jej dawała. Ale Espera jak zwykle zapamiętała Zofię. Przecież nie zapomniała o ludziach. Są podstawą tego świata. Pielęgnowała wspomnienia o nich, rozmowy, niczym zawzięty ogrodnik rabaty z kwiatami. Do każdego żywiła wielki szacunek. Z równie wielką starannością pielęgnowała w sobie swoją nadzieję, która dawała jej siłę. Po prostu ją w sobie kochała.

Kiedy Espera zapisała się do koła wędrowniczego. Grupa ludzi urządzała sobie wycieczki, chcieli krok po kroku poznać świat. Przed jedną z wypraw spóźniła się na zbiórkę, bo zwyczajnie zasnęła. Całą drogę miała nadzieję, że na nią poczekają. Niestety, gdy w końcu dotarła na miejsce zbiórki, nikogo tam nie było. Zapomnieli o niej.

- To nic - pomyślała i ruszyła sama. Miała nadzieję, że szybko ich dogoni. Albo że przypomną sobie o niej.

Po kilku godzinach trudnej wędrówki dogoniła grupę, która akurat miała postój. Okraśliła twarz miłym, jak zwykle, uśmiechem i spojrzała dokładnie na każdego z osobna. Przewodnik grupy podszedł do niej. Poklepał po plecach.

- Fajnie, że jesteś! - rzucił i ruszyli dalej. Espera jednak potrzebowała odpoczynku. Ruszyli bez niej. Znowu o niej zapomnieli.

Nikt nawet nie zauważył kiedy wykreśliła się z listy członków grupy. Ale przecież fajnie, że była, bo dawała innym nadzieję, była ich siłą napędową. Co z tego, że już jej nie ma?

Lata mijały, a Espera była coraz słabsza. Starzała się, jak każdy człowiek. Nadal jednak starała otaczać się ludźmi. Słuchała ich i dawała nadzieję. Każdemu starała się dać po kawałku szczęścia, co niezwykle uszczęśliwiała ją samą i sprawiało, że jej ogromne oczy błyszczały bez ustanku.

Ludzie z chęcią i chwilową wdzięcznością odbierali te kawałki szczęścia i karmili się jej nadzieją. I obiecywali. Że będą, że przyjdą. Ale i tak zapominali. Espery nadzieja jednak nie opuszczała. Nadal wierzyła w tych ludzi. Pamiętała każdego. I pielęgnowała te wspomnienia.

Przyszła dzień, kiedy Espera umarła. Dusza opuściła ciało. Uniosła się gdzieś tam, gdzie zazwyczaj unoszą się dusze. Kobieta z uśmiechem pożegnała ciało, które przez tyle lat pomagało jej poznawać ludzi i podążać za nimi. Przecież bez ciała nie mogłaby dawać im nadziei, że wszystko się ułoży, że będzie dobrze.

Wędrowała sobie dalej, tyle że już bez tej cielesnej powłoki. Myślała o ludziach, których miała szczęście poznać i o tym, jak po kolei pomagała im wierzyć. Aż w końcu napotkała, tam właśnie, gdzie wędrują dusze, wielkie białe drzwi. Otworzyła je bez wahania i ujrzała duże jasne pomieszczenie. Weszła i spotkała wszystkich ludzi, z którymi kiedyś miała do czynienia. Pamiętała dokładnie każdego, jakżeby inaczej. Ale jej nikt. Nikt nie pamiętał Espery, kobiety o wielkich oczach i imieniu, które sama dla siebie stworzyła. To nie polskie, to od *esperanza*, co znaczy nadzieja. Głupia i naiwna nadzieja, że ludziom na sobie zależy.



WICHURA

HANNA ENGEL

Nikt nigdy nie powiedział mi, czym jest miłość. Nikt nigdy nie nauczył jej barw, smaków, zapachów, dobrych oraz złych stron. Dlatego żyłam w przekonaniu, że miłość, to Książę na białym koniu nadjeżdżający z daleka o brzasku poranka. Ja stojąca w bramie mojego zamku, czekająca na Niego z tęsknotą w oczach, w białej sukience biegnąca przez zieloną, kwitnącą łąkę, aby go powitać. On, zsiadłszy w kłusie z konia, spieszący, aby wziąć mnie w ramiona. Za moimi plecami rodzice uśmiechający się pobłaźliwie, liczący już, ile prosiat należy zabić, aby wyprawić nam huczne wesele, byśmy mogli żyć długo i szczęśliwie.

Jednak nigdy nie zastanawiałam się skąd ów Książę ma przybyć, dlaczego witam Go od razu w białej sukni, czemu jest wiosna; przecież przyjechać może o dowolnej porze roku, czemu mam idealną fryzurę; choć to podobno brzask, a więc prawdopodobnie jeszcze bym spała. I oczywiście najważniejsze pytanie, czemu ktokolwiek miałby mnie tak pokochać.

Ale wtedy się nad tym nie zastanawiałam. Dla pięciolatki świat wydaje się bardzo prosty i szczerzy. Cóż, sprawdza się mądrość, że sądzimy po sobie. Ja, jako mała Julia, nie wyobrażałam sobie życia inaczej, jak tylko tak. I żyli długo i szczęśliwie. Nie mogłam sądzić inaczej, skoro liczne nianie, zmieniające się co miesiąc, według upodobań Pani Matki, czytały mi tylko pieśni sławiące czyny wielkich rycerzy, wychwalając przy tym urodę, skromność oraz cnotę wybranek ich serca, tudzież małżonek. Szczególnie zapamiętałam pannę Monikę; jest to moje pierwsze, dłuższe wspomnienie z dzieciństwa. Sympatyczna dama siedziała na krześle w swojej granatowej, skromnej sukience i uśmiechała się do mnie zza książki. Czarne włosy upięte miała w kok. Dziewczyna nie miała nawet trzydziestu lat, choć wtedy wydawała mi się bardzo stara. Pamiętam, że czytała mi opowieść o pewnej królownie, której los zależał od wiatru.

Nie pamiętam dokładnie, jaki morał miała bajka. Wiem jednak, że dziewczyna była tak szczupła i wątła, że lekki powiew mógł zanieść ją w dowolne miejsce na świecie. Tak bardzo jej wtedy współczułam... Jakie to straszne nie móc kontrolować swojego życia i tego, co się z nim stanie. Wiem, że na końcu królowna miała już uzyskać szczęście w ramionach ukochanego księcia, niestety Wiatr miał inne zamiary wobec niej i chciał zabrać ją tuż sprzed ołtarza. Zakochani jednak zdążyli już wymienić się obrączkami, były one na tyle ciężkie, że utrzymały dziewczynę przy Księżcu.

Od tego momentu zawsze marzyłam o ślubie i pierścieniu, dzięki któremu nikt nigdy nie zabierze mnie od mojej miłości, mojego szczęścia. Teraz mam dwadzieścia pięć lat. I wierzę, że ten pierścionek utrzyma mnie na ziemi, razem z nim. I żadne wiatry, huragany, wichury nie będą w stanie sprawić, że zapo-

mnę i ulecę.

Niedawno dostałam propozycję pracy w Anglii. Świetne stanowisko, lepsza pensja. On nie mógł lecieć ze mną.

Tydzień temu mój kolega po kilku drinkach na bankiecie powiedział, że zawsze mu się podobałam, słyszał, że mój mąż jest w delegacji, w zasadzie to robi się już późno, mieszka sam, a boi się ciemności i czy nie chciałabym mu dodać otuchy.

Nie możemy mieć dzieci, poroniłam. Staramy się już tak długo. Jestem zmęczona. Próbujemy już trzy lata i nic. Seks staje się conocnym koszmarem. Czy to ze mną jest coś nie tak, czy z nim?

Nuda. Wraca z pracy, rzuca torbę w ką i idzie spać. Zmęczony jest. Rano wstaje, je śniadanie i wychodzi. Ja czytam gazetę. Gdy słyszę trzask zamykanych drzwi, powoli składam ją i odkładam na stolik. Ubieram się i wychodzę. Czy tak właśnie miało wyglądać moje życie? Wchodzę do kancelarii prawnej. „Tak, moje nazwisko XZY, w sprawie podania o rozwód”. Siadam na krześle. Kącik dla dzieci? Kto normalny stawia takie coś w poczekalni radcy prawnego? Przeglądam kolorowanki i książeczki. „Opowieści o królownie lekkiej jak wiatr”. Patrzę na palec serdeczny. Nie mam tam obrączki. Zapomniałam. Zapomniałam. Zapomniałam! Wybiegam. Ledwo widzę chodnik przez łzy. Co się stało? Co się stało?



Nie czekam, aż wróci do domu, za dużo czasu już zmarnowałam. Wchodzę do jego biura i przepraszam. Przepraszam, jak jeszcze nigdy za nic. Mówię mu o wszystkim. Nie, tym razem nie, mówię. Teraz rozmawiamy. On też zaczyna płakać. Nie, nie zepsułam wszystkiego. Przecież nie poleciałam do Anglii, nie pocieszyłam kolegi na bankiecie, widzisz, wszystko jeszcze można naprawić. Kocham cię. Też cię kocham. Wyjedźmy na wakacje, teraz, zaraz, całe życie przed nami. Wspólne życie. Telefon. Mój lekarz: „Pani XYZ? Mam wspałałe wieści!”

Po powrocie do domu znalazłam ją. Leżała na ziemi. Pod stolikiem, zakurzona. Choć nie miałam jej wtedy na palcu, jednak utrzymała mnie przy ziemi. Wiatr się uspokoił. Nie huczy już po nocach za drzwiami. Przeciągi nie sprawiają, że okna otwierają się same i bolą nas plecy. Teraz delikatne powiewy zefirku przerywa cichy płacz dziecka.



CIEPŁY KAFLOWY PIEC

MARTA FORTOWSKA

Na kaflowym piecu w domu rodziny Sawickich spał bury kot. Było to zwierzę wdzięczne, mimo że koty zazwyczaj uważane są za stworzenia wyniosłe i na swój zwierzęcy sposób - bezwzględne. Ten jednak przełamywał stereotypy - reagował na każde „kici, kici” i „miau”, wydawane cienkim głosem przez domowników, nigdy nie wstrząsał łapką, gdy stawiano przed nim miseczkę ze śmietanką, nie gardził zabawami z dziećmi i we wsi wiódł życie spokojne, nie wchodząc w konflikty z silniejszymi od siebie, ale też nie pozwalając wchodzić sobie na głowę małym, okolicznym kociętom. Ponad wszystko jednak upodobał sobie sypianie na kaflowym piecu stojącym w rogu kuchni, który zawsze przyjemnie ogrzewał jego futro i był zarazem najbezpieczniejszym miejscem w całym domu, jakie tylko kot pokroju kota rodziny Sawickich, mógł sobie wymarzyć.

Tamtej nocy jednak spał niespokojnie. Budził się często, spacerował po izbie, czujnym wzrokiem spoglądał za okno i reagował zwężeniem źrenic na najmniejszy ruch na podwórzu. Wszyscy domownicy byli świadomi, czym stanie się ten rok, tylko kot, ze względu na bycie kotem, nie wiedział, że to ostatnie chwile wygrzewania się na beżowym, kaflowym piecu. Z tą niewiedzą stworzenie dotrwało do świtu, ale tamtego ranka nie doczekało się miseczki z mlekiem stawianej od tyłu lat z namaszczeniem na podłodze przez właścicieli.

Wszyscy domownicy od piątej nad ranem, gdy tylko zaczęło robić się jasno, nerwowo przemieszczali się po domu, od pokoju do pokoju, pakując rzeczy do walizek. Sąsiedzi Sawickich, państwo Rybowiczowie zapowiedzieli im, że wspólnie zmieszczą się do starego samochodu i zdezelowanej dorożki.

- Dajta że spokój, pani Sawicka! Mąż trochę pogrzebał przy tej dorożce i

ze wszystkim data radę się zapakować! Toć to by nie było dobre, gdybyś tu zostali i czekali na śmierć. Pakujcie się z nami, nie ma co czekać! - mówiła poprzedniego dnia stara Rybowiczowa. Mimo pośpiechu w domu Sawickich było cicho. Zniknął dawny poranny rejwach i zwykłe odgłosy, które powinny być w wiejskim domu. Wszyscy w skupieniu zbierali najważniejsze i najpotrzebniejsze rzeczy - dokumenty i jedzenie, które najlepiej wytrzyma drogę. W domu sąsiadów było zresztą tak samo. Tylko dzieci w obu domostwach nudziły się niemiłosiernie, nie wiedziały, co się dzieje. Trochę cieszyły się, że jadą na wycieczkę, ale nie rozumiały, dlaczego rodzice zabierają takie duże bagaże, zamiast zwykłego wiklinowego koszyka z jedzeniem i koca.

Sawiccy mieli tylko jedno dziecko - sześciolletnią córkę Zosię - oczko w głowie taty i mamy. Długo się o nią starali, urodziła się już słabiotka i chorowita, więc dbali i uważali na nią, jak mogli, ale tamtego ranka umknęło ich uwadze, że dziewczynka wyszła z domu.

Na podwórku spotkała trzech synów i córkę Rybowiczów i dzieciaki poszły bawić się w Indian do pobliskiego lasu, w którym, oprócz ulubionych malin, miały też ogromną górę, na której nie brakowało krzaków i drewna - idealnych do takich zabaw. Dzieci ułożyły krąg z kamieni, oparły w nim gałęzie drzew i tańczyły dookoła, śpiewając. Nad wsią zbierały się czarne, burzowe chmury. Zaczęło robić się duszno, trudniej się oddychało, ale zabawa nadal była wspaniała.

Zaczął padać deszcz, co wprawiło dzieci w jeszcze większą euforię, bo wyobraziły sobie, że wywołały go swoim indiańskim tańcem. Przeraziły się jednak nieco, gdy w oddali niebo zaczęły przesywać błyskawice. Gdy huk stał się głośniejsze i bliższe, dzieci schowały się między krzakami i z tamtego miejsca obserwowały całe zjawisko. Dziewczynki, jak to dziewczynki, bały się i przytuliły się do siebie mocno. Były tak przerażone, że przysięgły sobie wieczną przyjaźń, a chłopcy patrzyli na niebo z palcami w buziach, zaciskając zęby z przejęcia i podekscytowania. Zosia spoglądała tam od czasu do czasu zza małych paluszków, którymi zakrywała twarzyczkę. Drżała, słysząc każde uderzenie pioruna i widząc łamiące się drzewa padające w dole wzgórza. Niebo nie wyglądało już jak robiony na drutach sweter babci, było teraz złe. Pełne zła - bo tylko takie określenie mogło narodzić się w małej główce ciemnowłosej Zosi, która zdezorientowanym wzrokiem wodziła po lesie. W dziecięcych objęciach przyjaciółki oczekiwała końca burzy i wraz z nią i chłopcami pobiegła do domu.

W progu stali już rodzice i wypatrywali jej z niepokojem. Matka, gdy ujrzała biegnącą, zapłakaną Zosię, sama załapała się łzami. Ojciec zaczął wnosić już walizki z domu, by zapakować je do samochodu i dorożki sąsiadów.

- Mamo, mamó! Jaka to była straszna burza! Jaki huk! I te drzewa, co to się przerwacały! Mamo, jak ja się bałam! Co to była za burza!

- To nie była burza. - odpowiedziała matka Zosi, obejmując dziewczynkę, która przygłębła do jej kolan. - To Pan Bóg się pogniewał.



DRZEWO

SEBASTIAN WALCZAK

Babci, która zawsze wierzyła.

I skoczyła. Nie ona jedna, nie pierwsza. Jej życie było takie piękne, mogło być, gdyby tylko chciała. Nie wiadomo, jak to jest; ta fantastyczność narodzin. Bierzesz się właściwie nie wiadomo skąd, dlaczego; bierzesz swój talon na cud i czekasz grzecznie w kolejce. Z nią było tak samo, pojawiła się z nieokreślonej masy, rosła, dojrzewała, z czasem wykształciła sobą piękno kształtu, widoczna, wyjątkowa, pełnia życia i nic. Gdy na nią patrzyłeś, była taka niewinna, mimo ubrania stawiała się w każdej chwili przezroczysta, widziałeś każdy zakamarek jej duszy, jak na dłoni. Nigdy nie narzekała, generalnie mówiła mało, wszystko robiąc w ciszy, spokoju i wielkiej cierpliwości. Tyłko na końcu towarzyszył jej krzyk. Gdy wpadła. Miała tyle za sobą i tyle przed sobą, żal było zostawiać, jeszcze mogła, może nawet chciała, ale nie miała sił. Skoczyła.

Odróciłem wzrok od kroplówki. Jeszcze niejedna kropla dojrzeje w butli zawieszanej na karykaturalnym metalowym wieszaku stojącego obok krzesła dla przychodzących gości; skoczy do plastikowej rurki, pobiegnie do jego żył i umrze, dając życie starczemu ciału leżącemu bezwładnie na szpitalnym łóżku.

Był stary, brzydki, pomarszczony, a ognisko życia tliło się w nim jedynie z czystej kurtuazji lub przyzwyczajenia. Starzy ludzie palą ogniska z papieru. Palą ogniska w lesie, nie mając siekiery i chęci zerwania gałązek na podpałkę. Nigdy nie wywołają pożaru w stanie największych susz. Podnoszą nowy dzień, jednocześnie tracą go, dmuchają na rozpalony żar, utrzymują ogień, ale wraz z nim unosi się smuga dymu, który wypala tłące się życie. Oni widzą tylko ogień, my widzimy dym. Chodzi za nimi, szpieguje, biegnie, czyha, błądzi. Jest. Pamiętam, jak robiłem wywiad z rodziną znanej pisarki. Zmarła, przekraczając sędziwy wiek wbrew naturze, sobie i rodzinie, w tej kwestii wydymała wszystkich, pisząc życiem ostatnią humoreskę. Metafizycznego żartu nie mogli ścierpieć wszyscy: rodzina, przyjaciele, sąsiedzi, pies z kulawą nogą, żebrak na dworcu, policjant, anioł stróż i adwokat i zemścili się, nie odwiedzając jej przez ponad dziesięć lat. Gdy umarła, podniosły się peany, że taka ważna, że ikona, że pozostanie pustka na piedestale słowa, że trzeba wydać dzieła zebrane już, teraz zaraz, na wczoraj i tak dalej. Zapytałem jej jedynej wnuczki, matki dwojga dzieci, przykładnej, wzorcowej, zgrabnej i powabnej, dlaczego nie odwiedziła babci przez tyle lat. Panie tam śmierdzi, zawsze śmierdziało taką starością. Czuje pan?

Starzy ludzie. Stary człowiek. Gdy mają lat sześćdziesiąt mówią: toż to młody facet był, miał dopiero sześćdziesiąt trzy lata! Gdy przekroczą siedemdziesiąt: jeszcze nie był taki stary, miał siedemdziesiąt osiem lat! Gdy przekroczą osiemdziesiąt, nie mówią już nic – nie mogą albo nikt ich nie słucha. Działek miał sześćdziesiąt siedem lat, ciało wydawało się być jakby odlane z wo-

sku, nieruchome. Nie podał mi ręki na przywitanie, nie miał sił. Staralem się na nie patrzeć, jednocześnie nie widząc. We wtorek, dwa tygodnie temu (wcześniej nie mogłem, miałem szkolenie, potem delegację, musiałem pojechać) przyszła pielęgniarka i odsłoniła koldrę, odkrywając kości pokryte skórą. Nie! nie! to nie był ten okropny filmik, jaki ci puszczaają w muzeum w Oświęcimiu, wstęp pięć złociszys i do przodu, nie! To było jego ciało. Jego. Same kości pokryte skórą, czuć było unoszący się zapach smrodu gnijącego ciała, ohyda – przecież to był mój dziadek. Zrobiły się odleżyny. Małe. Malutkie. Bo nie ma opieki, bo państwowy szpital, bo nie ma pieniędzy, bo nie ma czasu, bo żona mnie wkurwiła, bo synek chory, bo wywiadówka, bo się po prostu brzydzę, bo nie mogę na to patrzeć, bo takie jest życie, bo dlaczego ja. Ohyda i zapach moczu.

Tylko oczy wciąż miał żywe i smutne.

- Nie wiem, co mam robić, jeśli nie znajdę czegoś ciekawego, to mnie wyrzuca. Powiedz, jak to wtedy było, nie masz nic do stracenia, wszyscy nie żyją, zapomnieli, mają własne sprawy na głowie. Uratuj mnie.

- To był 1984 rok, żaden 22 lipca. Kikół, Kikut, nawet nie widziałem, jak się ta dziura nazywała, jesień i piździło jak w kieleckim. Na 40-lecie PRL-u mieli wybudować nową drogę Toruń-Warszawa. Było nas siedmiu. wiesz. Żadnej prowokacji pacholków „Solidarności”, tych wszystkich łachów, wólczegów, protestujących i nawiedzonych ekologów, o których wtedy jeszcze nie było głośno, wiesz. To głównie prawda, co pisali w gazetach. Przyjechała telewizja, kronika filmowa, żeby sfilmować początek inwestycji, wiesz, to wtedy była wielka rzecz, autostrada, w Polsce, taka sprawa. Jeżeli byłby bunt i rozruchy, kazali rozpędzić tłum, normalnie, dyplomatycznie, pałami. Zresztą nie było kogo.

Tak miałem zapisane w kartach operacyjnych i takie były instrukcje na odprawie: w sumie chodzi o to chłopcy, że to jest prowokacja. Grupa ludzi chce zatrzymać inwestycję budowy drogi przez ochronę „legendarnego” drzewa przy którym wycoczywał połeta i nawet wiersz o tym napisał. Robotnicy chcą ściąć drzewo stojące na środku planowanej drogi, a wataha buców, papudraków wykształciuchów kce temu zapobiec. Zapobiec rozwojowi Polski Ludowej! Te mały py co dżewo robią, to nie żadne jego fany, fany jego legendów i książek - to solidaruchy i jego odpryski ideowe. Nie, żeby byli niebezpieczni, inteligencja wysoko pojęta, rozumiecie, miejscowy wywiad beków zrobił swoje. Im to dżewo wierszokletę przypomina, a my zbadaliśmy, zobaczyliśmy, poprzypatrywaliśmy się: niepewna przeszłość, oddany ojczyźnie nie był, tak z życia, jak i ogólnie biorąc. A literaci w departamencie mówią, że w wytorach wierszowych też nie bardzo się wyprodukował jasno. No, to się rozumiemy, że to tyle, że w kwestiach wyjaśnienia. Ale my mamy misję takową, żeby ich doprowadzić do nas, zaprowadzić porządek, dowiedzieć się o postulaty, wybić je z głowy. To jako cel, do uświadomienia. Żeby nie było, że się znów na plenum nie poskarżył się ktoś, że bijemy bez celu. I ostrożnie, będzie pokazówka, więc delikatnie. I żeby mi tu, kurwa, nie zasłaniać kamery, kurwa! Bo ostatnio było ujęcie takie, że widziałem kurtki waszych oferm koleżków, a nie spektakularną akcją Milicji Obywatelskiej na czele której stałem ja! No. Skupcie się! I powoli, bez szalapucienstwa, najpierw po dobroci, ja będę przemawiał do rozsądku. Różne fronty pokazemy, postępowe metody walki i tak dalej, a co. Komorowski wyciągnijcie megafon z bagażnika, edukacja operacyjna będzie, uczcie się. No, spierdalać na miejsca.

Tak mówił. Nie mógł skończyć nawet siedmiu klas, chociaż każdy mu pisał wypracowania, zadania domowe odrabialiśmy na dyżurach. I premia. 10 lat w podstawówce, fajny chłop. Dodaj do tego jeszcze parę „kurw”, „chujów” i



masz obraz w całości.

Zaczęły się przemówienia, przyszły dzieci z flagami ustawione w rzędku, grzecznie wymachiwali flagami, rozumiesz, trzeba było uczcić tą doniosłą chwilę, spędzili, kogo się dało, by był tłum przed kamerą. Dowiedziałem od wychowawczynie, już w czasie śledztwa, że byli zwolnieni z lekcji. Przemawiali wszyscy: komitet, sekretarz rady, dyrektor budowy. Wszystko szło spokojnie, więc my cofnęliśmy się do fiatów i piliśmy. Zimno było i spokojnie, to co mieliśmy robić, w bagażniku leżał bimber od rolników z wcześniejszej interwencji, zatrzymany jako dowód w sprawie. Pilnowałem tylko, żeby nikt nie widział i żeby się nie przewracali. Nic się nie działo, i gadaliśmy. O dupach, samochodach, dzieciach, II lidze, o Starym i o tej cholerniej pogodzie. Jak skończyli przemawiać, nadszedł czas pokazowy - jako symbol rozpoczęcia budowy mieli ściąć tą cholerną sosnę, która rosła przy starej jezdni, tam gdzie miała być nowa droga. Piękne drzewo, stare, wiekowe, rozłożyste. Szkoda było. Dzieci, wiesz, po lewej, strażacy po prawej w galowych mundurach, wzorcowo. Piłować drzewo w galowym mundurze, kto to wymyślił, pajace! Kamerzysta z kroniki biega jak oparzony, wszystko w porządku, pełna sielanka. Widziałem ją, bo była ładna, nawet bardzo, stała tam sama, niby z nimi, jego wielkimi fanami, ale jednak osobno i patrzyła czujnie na to wszystko. Jego żona, żona Edwarda Stachury. Nie wiedziałem, kim on jest, nie znałem całej sprawy, zresztą on w ogóle nie był sławny przed śmiercią. Stała i patrzyła, my staliśmy i patrzyliśmy. Oni też, dalej. Byli spokojni, czasem tylko ktoś coś krzyknął, mieli smutne miny, niekiedy łzę na policzku. I tak wiedzieli, że nic to nie da. (Piłę odpalili dopiero za trzecim razem, zdenerwowani, nie wszystko szło tak, jak trzeba, ale kamerzysta pocieszał, że wytnie. Marzyłem, żeby już się to skończyło, fiat miał jeszcze ciepły silnik, przytuliłbym się do niego czulej niż do babci, tak piździło, mówię ci. Mi było wszystko obojętne, nic nie widziałem, nie zwracałem na to uwagi. tak mówili świadkowie: Gdy odpalali piłę, przy-

sunęła się bliżej i nic. Czekala. Ręce miała zaciśnięte, pobladłe policzki, wiesz i tak dalej. Wbił maszynę w sosnę, zaczęła lecieć wióry, jej lzy, wszyscy biją brawo, dzieci unoszą transparenty, wymachują flagami, operator kręci, krzyczą, krzyczą, wiwatują. Tną. Rzną. Wbijają się coraz głębiej. I ona wtedy skoczyła, z otwartymi ramionami. Rzuciła się. To się działo tak szybko, że nie zdążyłem nawet oderwać się od maski samochodu, na której siedziałem sennie. Krzyknęła: STAAAAAAAAC!!! Dzieci krzyczały huraaaaa. Staaaaachuraaaaa. Banalne, nie? Takie pretensjonalne, jak w jakiejś pierdolonej baśni. Wszystko zlało się w jedno. Jeden wielki, wielobarwny krzyk. Słyszę go do dziś. Zawaliło się wprost na nią. Inni zdążyli się odsunąć. Śledztwo wykazało samobójstwo, sam je prowadziłem. Ten co ścinał, pomylił się w obliczeniach, nie mógł sobie darować i powiesił się 4 lata później. Zyta Orszyn, lat 44 wdowa. Drzewo zabiło w Życie w Życie. Życie w Życie. Poprawisz to sobie. Potem zainteresowałem się kim on był. Lubię wszystkie jego utwory oprócz jednego. „Siekierezada”.

Skoczyła. Następna. I następna. I następna. Skoczyło jeszcze wiele. Narodziło się i umierało. Dwa tysiące trzysta czterdzieści siedem kropel z kropłówki spłynęło do jego żył. Potem przyszła pielęgniarka i odłączyła ją.

31.05.1971-07.06.1971



MIAMI

PAULINA DZWOŃCZAK

Dzień dobry! Mamy dzisiaj wtorek, 12 grudnia 1977 roku, nad Miami bezchmurne niebo wróży nam kolejny piękny dzień. Cieszymy się, że zaczynacie dzień z naszą stacją. A już teraz, tylko u nas, najnowszy utwór z pierwszych miejsc list przebojów...

Szum ulicznego zgietku zagłuszam muzyką. Poranne bieganie stało się już nałogiem, takim jak bezsenne noce, czy codzienne picie mocnej, czarnej kawy. Jedną z zalet mieszkania w Miami jest to, że nigdy nie jest zbyt zimno. W grudniu temperatura sięga nawet 25 stopni. Bieganie wyzwala. Tylko wtedy czuję, że naprawdę żyję. To jedyna czynność, którą robię tylko dla siebie, nie myśląc o nikim innym. Po prostu zakładam słuchawki i biegnę. Po drodze mijam zaspanych sprzedawców otwierających swoje sklepy, ludzi spieszących się do pracy na pierwszą zmianę. Kiedyś na plaży rozmawiałam z jednym sklepikarzem, który zdziwiony zaczepił mnie, pytając, dlaczego zamiast spać, zbieram muszki. Sam narzekał niemiłosiernie na to, że musiał tak wcześniej opuścić łóżko. Nie mógł wyjść ze zdumienia, gdy powiedziałam mu, że robię po prostu to co lubię, łamię schematy i szkoda mi życia na to, żeby spać i pozwolić przeijać bezcennym chwilom.

Od małego byłem żywym dzieckiem, próbowałam wyskakiwać z wózka, nie można było spuścić mnie z oczu. Gdy tylko nauczyłam się chodzić, uciekałam rodzicom, wchodziłam na drzewa, skakałam z huśtawek. Pewnego razu

spadłam ze schodków na placu budowy, gdzie wybraliśmy się z innymi dziećmi, i złamałam rękę. Pierwszy prawdziwy ból fizyczny, jaki pamiętam. To nauczyło mnie, że nie mogę wszystkiego, dotarło do mnie, że nie jestem niezwyciężalna. Jak zabawka, której żywot zależy od tego, jak jest traktowana. Ale nawet dobre traktowanie nie wystarcza na wieki, po pewnym czasie i tak ta zabawka rozpada się ze starości. Od tamtej pory już nie byłam taka odważna. Zaczęłam bać się bólu, lecz jeszcze nie wiedziałam, że ból fizyczny jest najjaśniejszą formą tego uczucia.

Dorośliam. Chociaż nie, tylko przybyło mi lat. Wciąż jestem dzieckiem. Nie potrafię pogodzić się z tym, że nie mogę dostać tego, czego pragnę. Nie nauczyłam się też zapominać i nie potrafię pogodzić się z ludzkim odejściem.

Codziennie przebiegam osiem kilometrów. Dokładnie tyle jest z mojego domu do przystani, skąd wypływają statki spacerowe, jachty i kutry. W porcie spędzam około czterdziestu minut. Siadam nad brzegiem i wbijam wzrok w morze. Czasami obserwuję marynarzy i kapitanów wypływających w rejsy. Widzę płaczące dzieci żegnające ojców i żony przysięgające wierność. Potem statek odpływa, oni stoją jeszcze przez kilka minut, aż statek zniknie za horyzontem, a ręce nie będą miały już siły dłużej machać.

Najbardziej lubię patrzeć na powroty. Gdy łączy szczęścia nie mają końca, gdy okazuje się, że prawdziwych uczuć nie jest w stanie pokonać ani czas, ani odległość. Te historie mają swój szczęśliwy koniec jak w bajkach, w których do księżniczki zawsze przypląwa książe, a potem żyją długo i szczęśliwie. Szkoda tylko, że rzeczywistość pisze różne scenariusze, więc żeby była równowaga, nie zawsze muszą być to bajki - coraz częściej komedie i tragedie.

Wspominam tamten dzień. Też tak stałam, jak ta dziewczyna, która przed chwilą ostatni raz całowała usta ukochanego, nim wsiadł na pokład. Pełna marzeń i snów o pięknej przyszłości, gdy tylko znów on wróci. To miał być krótki rejs, góra tydzień. Zdecydowali się na łódź spacerową. Tylko przygotowanie do poważniejszej wyprawy. Dlaczego zawsze dzieje się tak, że rzeczy, które na pozór wydają się zupełnie bezpieczne i niepowodujące żadnych komplikacji, pociągają za sobą nieodwracalne konsekwencje? Najwyraźniej tak musi być.

Dziewczyna uśmiecha się, schodząc z pomostu. Orientuję się, że już pora wracać. Żegnajmy się z morzem, obiecując, że jutro wrócę, jak wracam od dziesięciu lat.

Nazywam się Taylor McLevis i mam 32 lata. 10 grudnia 1967 roku mój chłopak wypłynął wraz z przyjacielem w krótki rejs. „Witchcraft” nigdy nie powrócił, chociaż czekam do teraz. Od 26 grudnia tego samego roku łódź znalazła się na liście niewyjaśnionych zaginięć w okolicach Trójkąta Bermudzkiego.

Zapomnisz. Pewnego dnia zapomnisz. Otworzysz oczy, pomiędzy chmurami zobaczysz słońce, a jego promienie tym razem cię nie ominą, lecz rozświetlą Twoją duszę. Zaparzysz kawę o zapachu nadziei z torebki z napisem „Nowa Szansa”. Otworzysz okno, wpuścisz marzenia, a oddech będzie miał smak wiśniowego tytoniu. Jak za starych dobrych lat.

witam w moim głupkowanym życiu

WOJTEK NOWAK

witam w moim głupkowanym życiu
z maltretowanym, zawieruszonym,
niezrozumiałym
zgubione "niemożliwe, wszystko jest
dobrze"
nie spowalnia mnie to wcale
ciągle zgadywanie
zobacz - jednak jestem ciągle w zasięgu

bardzo, bardzo proszę
nigdy, nigdy nie czuj się
mniej niż dobrze
bardzo, bardzo proszę
jeśli kiedykolwiek poczujesz się
jak nic
przestań milczeć
i idź

TOMASZ DZIAMAŁEK

Stoję przy drodze
Ty jesteś drzewem drugim
Bardzo bliskim
Mimo to nasze słońce
Poblady z samotności

Nie możemy się zrosnąć
Tylko nasze korony
Mogą ze sobą rozmawiać

Wiatr mówi przez moje usta,
Twoje usta też pełne wiatru
Szept delikatny budzi mnie ze snu
A promień słońca dotyka twój kory

insomnia

KASIA DOBUCKA

dwa palce
skradzione powietrze
i jeszcze

noc
o sen walcząca
końca

Poproszę błyskawicy
tej siostry pioruna
„Wyrwij nas z korzeni”

Byśmy upadli na siebie...

maj 2011



chwila Ikara

NATALIA DURSZEWICZ

oddalone o kawał ciężkiej epoki
czoła marszczą się
jednocześnie
dając ujście kroplom

o tym samym składzie

nasze czoła – twoje
marmurowe
moje – śmieszny kawał gliny
pod swoją wypukłością
kryją myśl
różniącą się tylko językiem

powoli podnosimy ręce
łączy nas lot
twój – nad milionem białych
dachów
mój – nad własnym życiem

kto upadnie?

zniewolenie

PIOTR CHARCHUTA

Chwytasz nadzieję
A w proch się obraca
Gasisz płomień
A pożar powraca
Czujesz, że lecisz
A spadasz na ziemię
Mówi, że kocha
Pobożne życzenie
Chcesz być Konradem
A Gustaw cię woła
Jesteś przyjacielem
A On jest Ci bratem
Kto Ci powie prawdę
Którą chcesz usłyszeć
Ślepy jesteś w prawdzie
Kłamstwo każe krzyzczeć

to ja

SZYMON SZELISKI

Zgrzyt na płycie: to ja
obsikana kłapa: to ja
najmocniejszy alkohol: to ja
przemęczony wzrok: to ja
najdłuższa książka: to ja
śmierdzący zaułek: to ja
głośna muzyka: to ja
największy idiota: to ja
najmocniejszy wiatr: to ja
zużyty tampon: to ty
koniec świata: to ja
złe wiadomości: to ja

LEGENDA O CZYTANIU

KAMILA MIKOŁAJCZAK

Czym dla ciebie jest książka? Pigułką na bezczynność, ostatecznym sposobem zabicia nudy? Kopalnią wiedzy poszerzającą twe horyzonty? Zastępczym oddychaniem? Marnotrawstwem czasu? Przykrym obowiązkiem...?

Początkowo, kiedy odpowiedzi moich rówieśników na powyższe pytania skonfrontowałam z własną opinią, zadziwiła mnie skrajna niezgoda. Najczęściej okazywało się, że czytanie to czynność tak dla nich obca, jak dla przeciętnego średniowiecznego chłopca byłaby dzisiejsza technologia, z e-bookami włącznie (uwzględniając to, że nie opanował on nawet sztuki czytania i pisanie). Nie chcę i nie będę powoływać się na tak skrajną opinię, że różnica między tamtymi czasami, a obecnymi, widoczna jest tylko i wyłącznie w możliwościach edukacji, jakie stawia przed nami XXI wiek i realia, w których żyjemy. Chcę jednak zwrócić uwagę na to, że dla wielu z nas możliwość ta nie jest wcale wspaniałą drogą (tak przecież jasną i prostą!), lecz kolejnym szmatem drogi, na który jesteśmy skazani, podczas gdy wygodniej byłoby przycupnąć sobie w miejscu. Nieważne, że najbliższa biblioteka znajduje się raptem kilka ulic od twego domu, gdzie nie musisz wydać nawet grosza, by móc wypożyczyć książkę – zawsze będzie za zimno lub za daleko, żeby tam iść, zresztą po co, skoro lepiej obejrzeć kolejny odcinek serialu lub w coś sobie pograć...?

Kilka dni temu udałam się do księgarni, chcąc kupić lekturę. To chyba właśnie dialog ze sprzedawczynią ostatecznie przekonał mnie do poruszenia kwestii zainteresowania literaturą wśród rówieśników.

- Dzień dobry. Czy jest „Makbet”?

- Niestety, chyba nie... Przykro mi, ale zostało tylko wydanie bez opracowania (sprzedawczyni odpowiedziała mi z wielce zrezygnowanym tonem).

- Nie szkodzi, poproszę. O takie właśnie mi chodziło.

(Sprzedawczyni, jakby ignorując to, co powiedziałam, dodała szybko):

- O, ale mamy tu jeszcze samo opracowanie!

Wydaje mi się, że owa sytuacja, mimo, że pozornie tylko jednostkowa, doskonale oddaje ogólny stan. Jeżeli książka, to co najwyżej lektura, skoro już trzeba. Jeżeli czytać, to z opracowaniem. Jeżeli nawet z opracowaniem jest to zbyt duży wysiłek, lub opracowania nie ma, to ewentualnie pofatygować się o



streszczenie, nieważne, jak ciekawa i wartościowa (ba! – jak cienka) byłaby książka.

Kiedy jednak zdarza się czytać komuś nieprzymusowo, a z własnej woli, najczęściej wybiera książki: a) „proste, łatwe i przyjemne”, lub b) te, które okrzyknięte są światowymi bestsellerami, choć przeważnie nadają się co najwyżej do tego, by podłożyć je pod kartkę, bo wygodniej się pisze. Książki takie mają prosty język, prostą fabułę, prosto wykreowane postaci, prosty przekaz – dlatego czyta się je PROSTO, łatwo i przyjemnie. Ale czy naprawdę o to w czytaniu chodzi? I czy nie wydaje się czasem, że odnosi się to nie tylko do samego czytania, ale do ogólnego spojrzenia na życie, do czegoś znacznie więcej...?

„Pytasz, czy cokolwiek czytam? A wydaje ci się, że nie mam co do roboty?” Taki pogląd jest niestety dość powszechny i aprobowany przez „współwyznawców”. Nie czytać nie jest wstyd – wstydem jest czytać. Gdybym zaś ja zadała pierwsze dwa pytania, lecz w odniesieniu do gier komputerowych, telewizyjnych programów rozrywkowych, znanych internetowych stron, cotygodniowych imprez lub niewybrednych filmów, na pewno nie spotkałabym się z takim zrozumieniem, z jakim spotyka się wstręt do książek. Książki uważane są chyba za zarezerwowane dla niektórych tylko szaleńców, którzy się nimi interesują, ale nikt poza tym nie ma obowiązku poczuć choć trochę wstydu, że nie pamięta, kiedy ostatnim razem trzymał jakąś w ręku. Natomiast nieobejrzenie ani jednego odcinka najnowszej edycji programu „Jak gwiazdy zmywają naczynia?” jest nie do pomyślenia.

Stopień wysiłku i zaangażowania, jaki trzeba włożyć w to, by sięgnąć po książkę i ją przeczytać, jest wręcz śmieszny w stosunku do tego, ile niesie ona korzyści i przyjemności. Książka jest zawsze najbogatszym źródłem wiedzy i informacji, czynnikiem, który niewyobrażalnie poszerza nasze wszelkie horyzonty, nawet wtedy, gdy nie zdajemy sobie z tego sprawy.

Każda książka wpływa na to kim jesteśmy i kształtuje naszą osobowość. Książka pobudza wyobraźnię i pozwala oderwać się od rzeczywistości, lub – przeciwnie – poznać te zakamarki rzeczywistości, o których nie mieliśmy pojęcia, że istnieją. Wiedzą to ci, co kochają to, o czym inni nie mają pojęcia – spędzić całą noc z gorącą kawą, szelestem kartek i zapachem papieru...



PECH

KASIA OSTASZKIEWICZ

Jak to się dzieje, że żyjemy beztrąsko w naszych wygodnych i dopieszczonych domach, aż pewnego dnia coś zakłóca nasz spokój i szlag trafia całą tę harmonię? Coś, co nazywamy po prostu pechem. Ale czy pech istnieje? Może to zrzędzenie losu? Czysty przypadek? Przeznaczenie? Fatum? Jakkolwiek by to nazwać, dopada czasem każdego. Oczywiście nikt nie wierzy przecież w bezkresne szczęście w krainie uciechy i różowych jednorożców... Ale...? No właśnie. W głowę by człowiek dostał, gdyby spodziewał się wiecznie najgorszego. Zapewne siedziałby w schronie przeciwatomowym i nie kontaktowałby się z nikim, żywiąc nadzieję, że jedzenia wystarczy na kilka lat życia w bezpieczeństwie, nim zostanie zmuszony do wyjścia na zewnątrz. Do tej ryzykownej eskapady włożyłby kombinezon ochronny i modliłby się w duchu, żeby nic się nie stało. I, o ironio, zaraz po wyjściu gigantyczny meteorit trafiłby prosto w jego dom, a on sam zginąłby chwilę wcześniej pod kołami samochodu prowadzonego przez pijanego ślepcę bez prawej ręki.

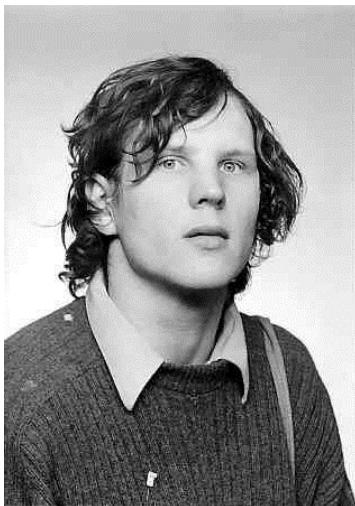
Ja sama, gdybym wiedziała, że wracając do domu autobusem, uderzę w kasownik, co doprowadzi do późniejszego upodobnienia się do Donatelli Versace, zrezygnowałabym na jakiś czas z komunikacji miejskiej. Jedno, co dobre z tego wynikło, to że w przyszłości już zawsze będę trzymać się poręczy. Nic nie dzieje się bez przyczyny. Owe sytuacje mają nas czegoś zapewne nauczyć. Tylko co takiego wnosi do naszego życia wdepnięcie w psie odchody? Może jedynie zaostrzyć zmysły i usprawnić funkcje odpowiedzialne za obserwację otoczenia. Jest się czujnym jak wilk. Tak to już jest, że każdy ma czasem gorsze dni, ale w końcu nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. O ile pechem nie okaże się stratowanie przez jelenie zbiegłe z pobliskiego ZOO.

GRZEGORZ PRZEMYK (1964-1983)

oprac. MARTA FORTOWSKA

„MIAŁ

Postać Grzegorza Przemyska i przyczyna jego przedwczesnej śmierci powinny być przykładem negującym stwierdzenie tak często słyszane, że „za komuny było lepiej”. Młody poeta 12 maja 1983 roku został zatrzymany przez milicjantów na warszawskim Starym Mieście i przewieziony na komisariat, gdzie z polecenia dyżurnego funkcjonariusza został pobity. Zmarł dwa dni później w wyniku obrażeń wewnętrznych. Winą za jego śmierć ówczesne władze obarczyły sanitariuszy pogotowia ratunkowego, którzy przewozili Przemyska z komisariatu do szpitala, a



winni jego śmierci funkcjonariusze milicji - Ireneusz Kościuk i Arkadiusz Denkwicz - zostali uniewinnieni. Pod koniec 2009 roku sąd apelacyjny w Warszawie orzekł, iż sprawa śmierci Grzegorza Przemyska przedawniła się 1 stycznia 2005 roku, co skutkowało umorzeniem procesu Ireneusza Kościuka. Przedwczesna śmierć Przemyska uniemożliwia pisanie o jego literackim dorobku. 25 lat po śmierci poety ukazał się pierwszy tomik wierszy zatytułowany „W dniu, w którym przyjdiesz po mnie”.

19 LAT”